



**Szafi-
rowe
koni-
czynki**

Albert Wojt

Albert Wojt

SZAFIROWE KONICZYNKI

Kryminał z myszką – Tom 30

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-93-9

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1988 (Labirynt)

Nakład pierwszego wydania: 159 700 + 300 egz.

I

Wysoki, barczysty blondyn o podejrzenie krótko przyciętej czuprynie i boksterskim, spłaszczonym nosie pchnął ciężkie, oszklone drzwi „Fiołeczka”. W barze było duszno i tłoczno. Ten i ów ze stałych bywalców skinął przyjaźnie nowo przybyłemu, ktoś nawet wskazał zapraszającym gestem baterię charakterystycznych butelek stojących na okupowanym przez siebie stoliku, blondyn nie dał się jednak skusić perspektywie pijackich dyskusji przy „małym jasnym”. Przez chwilę lustrował baczny spojrzeniem obskurne wnętrze. Wreszcie znalazł, kogo szukał. W samym rogu, przy oknie, tkwił nad setką czystej i sałatką jarzynową drobny, trzydziestokilkuletni brunet o wystających kościach policzkowych i starannie ufryzowanych włosach. Jego ciemnowiśniowa kurtka z cielejącej skóry i wzorzysta koszula rodem z Pewexu zdawały się świadczyć, że trafił do „Fiołeczka” przypadkiem, a może raczej przez pomyłkę.

– Co tak późno? – Na widok blondyna podniósł się z miejsca. – Czekam już dobre pół godziny.

– Zdarza się. – Nowo przybyły nawet nie myślał o usprawiedliwieniu. – Grunt, że jestem.

– Jeśli nie zależy ci na tej robocie, mogę poszukać kogoś innego.

– Coś taki nerwowy, koleś? – Blondyn bez pytania sięgnął po setkę tamtego i wypił ją jednym haustem. – Skoro przyszedłem, znaczy, że skok mi leży.

– Zgadzasz się na moje warunki?

– Niech ci będzie.

– Pamiętaj, że bierzesz tylko forszę i błyskotki. Dzielimy się fifty-fifty. Nie próbuj mnie wykołować, bo dobrze wiem, ile czego stara trzyma w chałupie.

– Spokojna głowa.

– Zamki są solidne, ale w oknach nie ma krat.

– Z tym byłby najmniejszy problem. – Blondyn beznamiętnie wzruszył ramionami. – Powiedz lepiej, gdzie szukać złota, żebym nie musiał wywracać wszystkiego do góry nogami.

– W saloniku na parterze stoi komódka na krzywych nóżkach. Wyłamiesz drzwiczki i po kłopotcie.

– Jeśli wszystko będzie tak, jak mówisz, cała robota nie zajmie mi nawet kwadransa.

– I oto chodzi.

– Jest tylko jeden szkopał.

– Mianowicie?

– Skąd pewność, że nikt mnie nie nakryje?

– Stara mieszka sama i wieczorami nikt jej nie odwiedza.

– Takie babcie często cierpią na bezsenność.

– Ale nie ta. Ona kładzie się spać zaraz po filmie w telewizji i do rana mógłbyś strzelać jej nad uchem z armaty. Zresztą sypialnia jest na piętrze, a salonik z komódką na parterze. Według mnie nie ma żadnego ryzyka.

– Lepiej na zimne dmuchać. – Blondyn ciągle nie był przekonany. – Nie dałoby rady wyciągnąć gdzieś starej z domu?

– Nie sądzę. – Czarny jak gdyby się zawahał. – A jeśli nawet, to mogłaby się kapnąć, co jest grane.

– Czy ja wiem...

– Czego ty, u diabła, się boisz?! W chałupie nie ma psa ani żadnego innego zwierza, bo stara kocha porządek, telefon stoi w przedpokoju, przy wejściu do saloniku, a sąsiedzi nie wtykają nosa w nie swoje sprawy. Gdyby nawet zdarzył się cud i stara wstała z wyrka, sto razy zdążysz uciec ze złotem.

– Niby racja.
– Tylko żeby ci czasem nie strzeliło do głowy coś jej zrobić! – Głos bruneta nagle stwardniał. – Jeśli starej choć włos z głowy spadnie...
– W życiu! – Blondyn z rozmachem grzmotnął się w piersi. – Przecież mnie znasz nie od dziś. Wiesz, że nigdy nie pisałem się na mokrą robotę.
– To powodzenia! W niedzielę zadzwoń do mnie i powiedz, jak ci poszło, tylko nie klep wszystkiego, bo diabli wiedzą, kto może podsłuchać.

II

Mokry, zimny nos raz i drugi dotknął policzka drobnej, niespełna trzydziestoletniej blondynki. Alicja wzdrygnęła się, nie otworzyła jednak oczu. Amor, niezbyt rasowy jagdterier, przez dłuższą chwilę spoglądał na śpiącą panią. W końcu, widząc, że ta nie reaguje na jego zaczepki, wspiął się na tylne łapy i bezceremonialnie przejechał językiem po jej twarzy. Odepchnęła psa, spróbowała naciągnąć kołdrę na głowę, ale Amor ani myślał dać za wygraną, jednym susem znalazł się na łóżku i bez namysłu szarpnął zębami za róg poduszki.

– Poszedł! – Otworzyła wreszcie oczy. – No, już cię nie ma!

– Zabierz stąd to bydlę! – Szczupły, muskularny mężczyzna o krótko przyciętej, szpakowatej czuprynie podniósł się na łokciu i ziewnął niemiłosiernie. – Tyle razy ci mówiłem, żeby zamykać go na noc w kuchni.

– Amor, na miejsce! – Alicja wymierzyła psu klapsa, który nawet przez najmniejszego ratlerka byłby odebrany jako pieszczota. – Całkiem ci się we łbie przewróciło!

Pies zeskoczył na podłogę, wcisnął się za stojący pod oknem fotel, szarpnął zębami firankę i nieoczekiwanie znowu znalazł się na łóżku. Jerzy spróbował sięgnąć go ręką, ale Amor był już na fotelu, a moment później pochwytywszy kapeć Jerzego z głuchym warkotem wypadł do przedpokoju.

– Na miłość boską, zrób coś wreszcie z tym bydlakiem, bo w końcu kark mu przetrzęcę! Przecież on nadaje się tylko na łańcuch!

– Amor natychmiast oddaj panu kapeć!

W odpowiedzi jagdterier rozjazgotał się hałaśliwie. Jerzemu nie pozostawało nic innego, jak samemu odebrać swą własność. Klnąc na czym świat stoi ruszył do przedpokoju. Był już w progu, kiedy na stoliku przy łóżku rozdzwonił się telefon. Zawrócił, by podnieść słuchawkę, ubiegła go jednak Alicja.

– Słucham, Bogajska. – Nie mogła stłumić ziewania. – Kto mówi?

– To ja, Adam. – Głos Leszczyniaka, jak zwykle, brzmiał łagodnie i dźwięcznie. – Mam do ciebie prośbę.

– O co chodzi?

– Kiedy ostatnio byłaś u cioci Mieci?

– W ubiegłą środę.

– A nie wybrałaś się do niej dzisiaj?

– Stało się coś? – Alicja poczuła lekki niepokój.

– Chyba nie ma powodu do paniki, ale telefonowaliśmy z Pawłem do cioci kilka razy i nikt nie podnosił słuchawki.

– Dopiero dziewiąta. – Bogajska spojrzała na stojący przy łóżku budzik. – Pewno staruszka śpi jeszcze w najlepsze.

– Może. Tylko że zwykle ciotka jest na nogach już od ósmej.

– Skoro tak cię to niepokoi, to czemu sam nie pojedziesz zobaczyć, co się stało? –

Alicja najwyraźniej nie miała ochoty na wizytę u starszej pani. – Samochodem byłbyś za pół godziny, a ja jeszcze nie wstałam z łóżka.

– O wpół do dziesiątej jestem umówiony z klientem.
 – W niedzielę?
 – Każdy dzień tygodnia jest dobry, gdy w grę wchodzi godziwy zarobek.
 – A Paweł?
 – On nie nadaje się do złożenia wizyty ciotce, a tym bardziej do jazdy samochodem. Z daleka widać, jak sobie wczoraj dogodził.
 – Powinien się leczyć.
 – Z pewnością, ale o tym pogadamy innym razem... To jak, kochanie, dasz się namówić? Ciocia Miecia mieszka dwa kroki od ciebie...
 – Niech ci będzie, mecenasku! – Alicja wielokrotnie zdołała się już przekonać, że Leszczyński nie ustąpi, nim nie dopnie swego. – Zjem śniadanie i zajrzę do ciotki.
 – Jesteś kochana!
 – Szkoda, że o tobie nie można tego powiedzieć...
 Odłożyła słuchawkę i spojrzała na stojącego obok Mareckiego. Wyglądał niczym chmura gradowa. – Gdzie ty się wybierasz, jeśli można wiedzieć? – zapytał gniewnie.
 – Musimy wpaść na chwilkę do cioci Mieci.
 – Musimy?! – Słowa Bogojskiej podziałały na niego jak płachta na byka. – Mieliśmy tę niedzielę spędzić we dwoje, a nie w towarzystwie zbzikowanej staruszki!
 – Jureczku...
 – Rób co chcesz, ale mnie na wizytę u ciotki nie namówisz.
 – Benedykt nie był taki – odparła z wyrzutem. – Na pewno by ze mną poszedł. Marecki chciał coś odpowiedzieć, w ostatnim momencie rozmyślił się jednak i tylko popatrzył na Alicję jakoś dziwnie.
 – Pójdiesz? – Cmoknęła go w policzek. – Najwyżej na pół godzinki...
 – A niech tam! Ale to będzie ostatni raz.
 Minęła dobra godzina, nim Bogojaska i Marecki znaleźli się na ulicy. Szli w milczeniu, a Jerzy nawet nie próbował ukryć kiepskiego humoru. Alicja udawała, że tego nie dostrzega, choć dobrze wiedziała, jak bardzo jej przyjaciel nie lubi wizyt u dobiegającej właśnie osiemdziesiątki Mieczysławy Płateckiej. Na domiar złego sama namówiła go, by wziąć ze sobą Amora. Marecki prowadził psa na smyczy, a ściślej rzecz biorąc udawał, że prowadzi, bowiem jagdterier nie zwracając na niego najmniejszej uwagi szarpał się na wszystkie strony i szczerzył zęby na każde przechodnia.
 Skręcili w Dziennikarską i po chwili dotarli do Dygasińskiego. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i znaleźli się przed willą Płateckiej. Bogojaska nacisnęła dzwonek przy furtce. Przez kilka sekund czekali cierpliwie, jednak w środku nikt nie zareagował. Alicja zamierzała ponownie zadzwonić, ale właśnie w tym momencie Amor kolejny już raz szarpnął się Mareckiemu i skoczył przednimi łapami na furtkę. O dziwo, ustąpiła bez żadnego oporu.
 – Ciotka znowu popsowała zamek magnetyczny – westchnęła Bogojaska. – Doczeka się kiedyś, że ją okradną.
 Posypaną żwirem alejką podeszli do drzwi wejściowych. Były uchylone. Alicja spojrzała z niepokojem na Jerzego. Ten bezradnie rozłożył ręce, nie wiedząc, co powiedzieć. Chciał ruszyć do wejścia, gdy Amor ponownie przypomniał o swej obecności. Tym razem szarpnął tak silnie, że w ręku zaskoczzonego mężczyzny została tylko smycz z zerwanym karabińczykiem. Nim Jerzy zdołał zareagować, pies był już w willi.
 – To bydlę jeszcze ugryzie ciotkę! – Przerazona Bogojaska wpadła za jagdterierem do przedpokoju. – Amor, Amor!
 Szerokie, oszklone drzwi po lewej stronie prowadziły do salonu i stamtąd właśnie dochodziło głucho powarkiwanie niesfornego pupila Alicji. Stała w progu i nagle poczuła, że robi się jej słabo. Pośrodku pokoju, na wzorzystym chińskim dywanie leżała stara kobieta.

III

Porucznik Michał Mazurek z ciężkim westchnieniem podniósł się z klęczek. Odruchowo chciał otrzepać spodnie, rzuciwszy jednak okiem na utrzymany w idealnej czystości dywan, powstrzymał się od zbędnej czynności.

– I co powiesz, stary? – spytał tęgiego, brodatego lekarza, który nadal tkwił pochylony nad zwłokami.

– Nie żyje mniej więcej od dwunastu godzin – mrugnął tamten. – Ścisłej rzecz biorąc śmierć nastąpiła wczoraj, gdzieś między dwudziestą trzydzieści a dwudziestą drugą.

– Co było przyczyną zgonu?

– Zabójca uderzył biedaczkę czymś ciężkim w tył głowy. To wygląda na strzaskanie podstawy czaszki.

– Nie znalazłeś innych obrażeń?

– Otrzymała tylko jedno uderzenie, brak też jakichkolwiek śladów oporu z jej strony. Najwyraźniej nie spodziewała się ataku.

– Drań musiał babcię zaskoczyć. – Oficer w zamyśleniu zmarszczył brwi. – A może to ona nakryła włamywacza, a ten chwycił, co było pod ręką, i rąbnął ją w głowę.

– Tego już ci nie powiem. Ja tylko stwierdzam fakty. Od rekonstrukcji wydarzeń jesteś ty.

– Wiele mi nie pomogłeś.

– Nie można oczywiście wykluczyć, że wyjdzie coś jeszcze podczas sekcji, ale prawdę powiedziawszy nie przypuszczam...

– Patrzcie, co znalazłem w ogródku! – Do saloniku wkroczył z tryumfalną miną wysoki, barczysty chorąży. – Założę się, że tym właśnie pani Płatecka dostała po głowie.

Wyciągnął z plastikowej torby masywną statuetkę wyobrażającą dyskobola na moment przed rzutem. Na podstawie figurki widać było charakterystyczne rdzawe plamki.

– Bardzo prawdopodobne. – Lekarz pochylił się nad statuetką. – Uderzenie tą figurką musiałyby spowodować właśnie takie obrażenia, jakie stwierdziłem u denatki. Zresztą wszelkie wątpliwości powinny rozwiać badania mechaniczne...

– Co z odciskami palców? – zainteresował się Mazurek.

– Z tym niestety krucho – westchnął Pozorski. – Tyle ich, co kot napłakał, a co gorsza, wąpnię, by nadawały się do identyfikacji.

– Szkoda. Sprawa byłaby wtedy jasna.

– Nie narzekaj, mogło być gorzej.

Porucznik chciał coś odpowiedzieć, ostatecznie jednak wzruszył tylko ramionami. Obrzucił salonik pobieżnym spojrzeniem. Funkcjonariusze, którzy przyjechali tu razem z nim, bez pośpiechu wykonywali swe zwykłe, rutynowe czynności. Jeden oglądał właśnie przez lupę wyłamane drzwiczki zgrabnej komódki w stylu Ludwika XV, drugi fotografował otwarte okno i przewróconą doniczkę na parapecie, trzeci sprawdzał, czy na drzwiach do przedpokoju nie zostały odciski czyichś palców.

– Chodź, Michał, do ogrodu – zaproponował chorąży. – Chciałbym ci pokazać piękny odcisk prawego buta na klombie pod oknem.

– Trzeba zrobić odlew.

– O tym już pomyślałem... W każdym razie wiemy, którędy włamywacz dostał się do środka.

– Czemu Płatecka, mieszkając sama, nie zamykała na noc okien?

– Co chcesz, jest przecież koniec czerwca.

Wyszli z willi i chwilę później znaleźli się przy owalnej grządce pod oknem saloniku. Oficer przez dobre pół minuty z niekłamaną przyjemnością przyglądał się różnobarwnym

tulipanom rosnącym wokół jakiegoś rzadko spotykanego, kwitnącego na liliowo krzewu. W końcu chciał już przykleknąć przy odkrytym przez Pozorskiego śladzie, gdy kątem oka dostrzegł pod krzewem jakiś niewielki, błyszczący przedmiot. Odruchowo wyciągnął rękę, w ostatnim jednak momencie przypomniał sobie o niedbale wetkniętej do kieszeni gumowej rękawiczce.

– Przecież to pilnik! – Chorąży roześmiał się radośnie. – Ale ty masz, bracie, oko!

– Łobuz musiał go zgubić, kiedy włożył przez okno.

– Jeśli zostawił na pilniku odcisk choć jednego paluszka, jesteśmy w domu!

– Nie mów: hop.

Minęło południe, kiedy Mazurek przypomniał sobie o czekających na niego Bogojskiej i Mareckim. Z ciężkim sercem ruszył do kuchni. Siedzieli na prostych, drewnianych taboretach, a chmura gęstego dymu i okazała sterta niedopałków świadczyły wymownie, że wypalili przynajmniej ze dwie paczki papierosów. Leżący na kolanach u swej pani Amor warknął ostrzegawczo, o dziwo jednak zrezygnował z dalszego manifestowania wrogich uczuć wobec porucznika. Zeskoczył na podłogę i wcisnął się pod taboret Alicji.

– To państwo znaleźliście zwłoki? – Oficer starał się nadać swemu głosowi możliwie łagodne brzmienie.

– Owszem – Bogojska nerwowo przełknęła ślinę. – Przyszliśmy do niej i właśnie...

– Była pani krewną?

– Niezupełnie. Widzi pan, jako małe dziecko straciłam rodziców i wychowywała mnie nieżyjąca już siostra cioci Mieci, Alina.

– Starsza pani nie miała bliższej rodziny?

– Są jeszcze dwaj siostrzeńcy, Adam i Paweł Leszczyniakowie.

– Czy mogłaby pani podać mi ich adresy?

– Obaj mieszkają na Sadybie, na Okrężnej. Zresztą zaraz tu będą. Jerzy telefonował do nich przed kwadransem i powiedział, co się stało.

– Zaoszczędzili mi państwo drogi na drugi koniec miasta – podziękował Mazurek. – A wracając do rzeczy, odniosłem wrażenie, że pani Płatecka była dość majątna.

– Nawet bardzo.

– Nie orientuje się pani, czy trzymała w domu pieniądze lub biżuterię?

– W komódce, w saloniku.

– Pokazywała pani?

– Widziałam kilka pierścionków i bransoletek, naszyjnik z pereł, szafirowe kolczyki w kształcie listków koniczyny...

– Potrafiłaby pani dokładniej opisać te przedmioty?

– Czy ja wiem? – Niepewnie potrząsnęła głową. – Może niektóre...

– Bardzo by mi zależało. – W głosie porucznika zabrzmiała prośba. – Widzi pani, komódka w saloniku jest pusta. Najprawdopodobniej ten sam człowiek, który zabił panią Płatecką, zrabował również jej biżuterię.

– Może lepiej niech pan zapyta Adama Leszczyniaka. To adwokat, prowadził sprawy majątkowe cioci.

– Nie orientuje się pani, ile mogła być warta ta biżuteria?

– Chyba sporo. Same perełki wyceniono kilka lat temu na jakieś pół miliona, a kolczyki podobno pochodzą z połowy ubiegłego stulecia.

– Złapiecie, panowie, tego drania? – wtrącił się Marecki.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – obiecał oficer. – A na razie dziękuję państwu.

Alicja chciała chyba jeszcze coś dorzucić, w końcu jednak pociągnęła tylko nosem i sięgnęła po kolejnego papierosa. Mazurek wyszedł z kuchni. Stał w otwartych drzwiach do ogrodu i ocierając pot z czoła spojrzał w niebo. Słońce prażyło w najlepsze, a drobne, białe chmurki przemierzające powoli nieboskłon nie miały zamiaru go przesłonić. Zrobiło się

duszno i porucznik pomyślał, że w gruncie rzeczy niezbyt rozsądnie postąpił zamieniając się z kolegą na dyżury. W taką słoneczną niedzielę należało leżeć nad jakąś wodą, a nie zajmować się śledztwem w sprawie zabójstwa bogatej staruszki.

Przed furtką zahamowała gwałtownie popielata łąda. Moment później do ogrodu wkroczył wysoki, szczupły szatyn koło czterdziestki. Nerwowym ruchem wytarł ręce w chusteczkę do nosa i nie oglądając się na podążającego za nim niezbyt pewnym krokiem nieco młodszego bruneta podszedł do oficera.

– Adwokat Adam Leszczyniak – przedstawił się wyraźnie. – Jestem, a właściwie byłem, siostrzeńcem Mieczysławy Płateckiej.

– Dobrze, że pan przyjechał. – Mazurek wyciągnął rękę na powitanie.

– Pomyśleliśmy z bratem, że to nasz obowiązek.

– Pan Paweł Leszczyniak? – domyślił się porucznik, witając bruneta.

– Dzień dobry. – Głos tamtego zabrzmiał cicho i słabo.

– O śmierci pani Płateckiej już panowie wiecie. – Oficer uznał, że lepiej od razu przystąpić do rzeczy. – Została ona zamordowana i obrabowana. Jak ustaliłem, zginęły jej kosztowności. Gdybym miał ich dokładny opis, łatwiej by mi było ująć sprawcę.

– Nie tak dawno pomagałem ciotce przy sporządzaniu testamentu – rzeczowo wyjaśnił Adam Leszczyniak. – Dokument został złożony w zespole adwokackim. Wraz z nim znajduje się tam wykaz biżuterii ciotki.

– Czy mógłbym otrzymać ten wykaz?

– Oczywiście! Jutro zrobię odpis i dostarczę go panu do biura.

– Jak pan sądzi, ile warte były te kosztowności?

– Biorąc pod uwagę aktualne ceny rynkowe, przynajmniej ze dwa miliony.

– Złodziej się obłowił.

– Z tego co wiem, ciotka miała jeszcze około dwustu pięćdziesięciu tysięcy w gotówce.

– Nie trzymała pieniędzy w banku?

– Niestety, nie ufała tego typu instytucjom.

– A szkoda... Panowie często odwiedzaliście ciotkę? – Mazurek zmienił temat.

– Staraliśmy się z bratem, żeby co trzy lub cztery dni któryś z nas wpadł choć na godzinkę. Poza tym dość często zaglądała do staruszki Alicja.

– Prócz waszej trójki nikt do starszej pani nie przychodził?

– Czasem wychowanka jej zmarłej już przyjaciółki Danuta Ładyńska, czasem doktor Bobrowski, czasem któraś z sąsiadek... I, oczywiście, sprzątaczką.

– Można wiedzieć, kto to taki?

– Jadwiga Murasiowa, mieszka dwa kroki stąd, na Mickiewicza. Sam ją ciotce poleciłem i mogę ręczyć, że to uczciwa kobieta.

– W każdym razie na noc pani Płatecka zawsze zostawała sama?

– Owszem.

– I wszyscy o tym wiedzieli?

– Nie stanowiło to tajemnicy.

– Podobnie jak stan majątkowy pańskiej ciotki...

– Panie poruczniku! – Leszczyniak pokiwał głową. – Wystarczyło przecież spojrzeć na tę willę!

– Niby prawda.

– O, jesteś już, Adam! – za plecami oficera pojawiła się Bogojska. – I Paweł przyjechał... Widzieliście ciocię? Boże, jakie to wszystko okropne!

IV

Porucznik Mazurek kolejny raz pochylił się nad wykazem biżuterii zrabowanej Mieczysławi Płateckiej. Było tego kilkanaście pozycji, przy każdej figurowała waga i rodzaj próby, a w paru przypadkach również króciutki opis. Oficer zastanawiał się właśnie nad szansami odzyskania kosztowności, kiedy trzasnęły drzwi i do pokoju wpadł podekscytowany Pozorski.

– Michał, chyba mamy drania! – zawołał od samego progu. – Eksperci orzekli, że odcisk kciuka na pilniku nadaje się do identyfikacji i znaleźli drugi, bliźniaczy, w naszej kartotece.

– A jednak! – Mazurek aż podskoczył. – Znaczy, że babcię załatwił któryś z naszych dobrych znajomych.

– Niejaki Franciszek Drzewiecki.

– Zaraz, zaraz, chyba coś mi świta. Dwa albo trzy lata temu miał sprawę o włamanie.

– Zgadza się.

– Ale on powinien jeszcze siedzieć.

– Zapomniałeś o amnestii? Poza tym gość dobrze się sprawował i puścili go warunkowo przed siedmioma miesiącami.

– Masz jego aktualny adres?

– Zameldowany jest u wuja na Potockiej.

– To tak jak wtedy, kiedy wsadzałem go za kratki – przypomniał sobie oficer. – A zatem szkoda czasu. Bierzemy wóz i jedziemy.

– Aha! Uzyskałem jeszcze jedną informację – już w progu dorzucił chorąży. – Chociaż w obecnej sytuacji to chyba bez znaczenia...

– Wal, bo potem się zapomni.

– W sobotę, koło dwudziestej trzeciej, na ulicy Promyka, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie willi Płateckiej był legitymowany niejaki Jan Klusik.

– Znam dobrze tego ptaszka i myślę, że nie warto zwracać sobie nim głowy. – Mazurek lekceważąco machnął ręką. – Przynajmniej na razie...

Niespełna trzy kwadranse później zatrzymali służbowego fiata przed szarą przedwojenną kamienicą. Ciemna klatka schodowa najwyraźniej od wieków nie widziała szcztoki ani mokrej szmaty, ze ścian odpadała wielkimi płatami farba bliżej nieokreślonego koloru, a metalowa balustrada trzymała się schodów chyba już tylko z przyzwyczajenia.

Wdrapali się na ostatnie piętro, Mazurek odnalazł właściwe drzwi i energicznie zapukał. Po chwili otworzył im niewysoki drobny mężczyzna o pomarszczonej twarzy i rzadkich, siwych włosach. Przy zgniłozielonej koszuli brakowało mu połowy guzików, a połatane spodnie ledwo trzymały się na wysłużonym pasku.

– Pan Ryczyński? – Oficer z niedowierzaniem pokręcił głową.

– We własnej osobie – przytaknął tamten suchym, świszczącym głosem. – Pan porucznik mnie nie poznaje?

– Poznają, poznają – żywo zaoponował Mazurek. – Tylko...

– Trochę się zmieniłem przez te trzy lata – dopowiedział Ryczyński. – No cóż, starość nie radość, a ostatnimi czasy nie najlepiej mi się wiodło.

– Chyba pan nie siedział?

– Przez ostatnich dziesięć lat nie widziałem kicia od środka – oburzył się Ryczyński. – Oczywiście, jeśli nie liczyć wizyt u Franciszka... Widzi pan, paluszki już nie te i musiałem się wycofać – dorzucił z rozbrajającą szczerością. – A samej renty na wiele nie starczy.

– Drzewiecki panu nie pomaga?

– Po wyjściu z pudła miał puste kieszenie, a teraz prawie się nie widzujemy.

– Nie mieszka już u pana?

– Od dwóch miesięcy.

– A nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

– Znowu macie na niego haka? – domyślił się Ryczyński. – Szkoda chłopca, nie zdążył nacieszyć się wolnością po ostatniej odsiadce.

– To jeszcze nic pewnego. – Mazurek nie zdobył się na to, by powiedzieć prawdę staremu człowiekowi. – Po prostu musimy przesłuchać pańskiego siostrzeńca.

– Oczywiście, oczywiście. – Mina Ryczyńskiego świadczyła wymownie, że chociaż potakuje, nie wierzy porucznikowi. – Powiem mu przy okazji...

– Kiedy się pan go spodziewa?

– Może wpadnie dzisiaj wieczorem, a może dopiero za tydzień.

– Nie wie pan, gdzie Drzewiecki teraz mieszka? – Mazurek powtórzył zadane już wcześniej pytanie.

– Podobno przygadał sobie dziewczynę z chatą i do niej się przeniósł.

– Nie pytał go pan gdzie jest to mieszkanie?

– Jakoś się nie złożyło.

– Nie chce pan nam pomóc, panie Ryczyński! – westchnął oficer. – Szkoda.

– Może napijcie się, panowie, herbatki? – Wuj Drzewieckiego udał, że nie dosłyszał ostatniej uwagi Mazurka. – Wprawdzie cieniutka, emerycka, ale zawsze...

Podziękowali i z kwaśnymi minami wrócili do swego fiata. Perspektywy śledztwa nie wyglądały już tak różowo, jak przed godziną.

– Co teraz? – Pozorski spojrzał pytająco na kolegę. – Wracamy, czy masz jakiś pomysł?

– Po poprzednim włamaniu Drzewiecki zawiózł fanty do Bielińskiego – przypomniał sobie porucznik. – Stary paser wyłgał się wtedy, ale kto wie, czy teraz nie będziemy mieli więcej szczęścia.

Jasny, nowoczesny blok przy ulicy Klaudyny sprawiał na pierwszy rzut oka całkiem korzystne wrażenie. Zrzędy im jednak miny, gdy okazało się, że na skutek jakiejś awarii żadna z wind nie działa i na siódme piętro trzeba wdrapywać się na własnych nogach. Klnąc na czym świat stoi i dysząc niczym miechy kowalskie dotarli w końcu do celu. Drzwi otworzyła im wysoka, postawna blondynka. Ubrana była we wzorzystą bluzkę i modne spodnie rodem z Pewexu, a jej niebrzydka, choć nieco lalkowatą twarz zdobiły bursztynowe klipsy wielkości gołębiego jaja.

– Panowie do kogo? – Zmierzyła przybyłych nieprzyjaznym spojrzeniem. – O co chodzi?

– Zastaliśmy obywatela Bielińskiego? – Mazurek sięgnął po legitymację.

– Właśnie bierze prysznic. – W głosie blondynki zabrzmiało niezdecydowanie.

– Na nasze przyjęcie nie musi zakładać garnitur. Więc jak, wpuści nas pani do środka?

– Proszę bardzo. – Z wyraźną niechęcią otworzyła szerzej drzwi. – Poczekajcie, panowie, minutkę. Zaraz powiem Zbyszkowi, że ma gości.

Znaleźli się w niezbyt obszernym, nawet jak na nowoczesne budownictwo, pokoiku i przysiedli na starej, cokolwiek zdezelowanej wersalce. Równie nienowy regał, odrapany stolik i czarno-biały telewizor nie świadczyły o zbytnej zamożności właściciela, co kłóciło się jakoś z wyglądem jego przyjaciółki.

Zdążyli sięgnąć po papierosy, kiedy w progu stanął tęgi, barczysty mężczyzna koło pięćdziesiątki. Mokra włosy, które skąpym wianuszkiem otaczały okazałą łysinę, i gruby, wiśniowy szlafrok wskazywały, że zgodnie z twierdzeniem blondynki faktycznie dopiero co wyszedł spod prysznic.

– Witam, witam kochaną władzę! – Z fałszywą radością zwrócił się do przybyłych. – Czemu zawdzięczam tak miłą wizytę szanownych panów?

– Przyszliśmy zapytać jak zdrowko, panie Bieliński?

– Dziękuję, jakoś nie narzekam.

– Pan dalej na rencie? – Tym razem w pytaniu porucznika zabrzmiała wyraźna ironia.

– Przez ten mój kręgosłup mam drugą grupę. – Paser nawet się nie zająknął. – Fizycznej robocie nie poradzę, a do umysłowej z czterema klasami mnie nie wezmą.

– Wystarcza panu do pierwszego?

– Jak widać. – Bieliński bezczelnym gestem potoczył ręką po pokoju. – Mieszkanko lokatorskie, trochę starych gratów...

– A nie dorabia pan... w starym fachu?

– Uchowaj Boże! – Gospodarz oburzył się na takie posądzenie. – Moje grzechy należą już do zamierchłej przeszłości.

– Innymi słowy nie ma pan żadnego powodu, by kryć sprawki dawnych znajomych z półświatka?

– Absolutnie.

– W takim razie możemy porozmawiać o Franku Drzewieckim?

– To on nie siedzi! – Zdziwienie Bielińskiego wypadło jakoś niezbyt naturalnie. – Przecież dopiero co zafasował cztery kalendarze.

– Niech pan tylko nie mówi, że nie widział się ostatnio z Franciszkiem! – wtrącił się Pozorski. – Dobrze wiemy, że to nieprawda!

– Ależ, panowie...

– Uważajcie, Bieliński! – Mazurek nieoczekiwanie podniósł głos. – My cholernie nie lubimy łgarzy! Posłuchaj, człowieku – dodał już spokojnie – tu w grę wchodzi mokra robota. W co ty się pakujesz?!

Ostatnie słowa Mazurka wprost przeraziły Bielińskiego. Twarz mu poszarzała, na czole pojawiły się kropelki potu, oczy niemal wyszły z orbit. Stał nieruchomo i łapał powietrze otwartymi ustami.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego! – wychrypiął wreszcie. – Ten bydlak nic mi nie powiedział.

– Kiedy się widzieliście? – Porucznik uznał, że należy kuć żelazo póki gorące.

– Ostatni raz był u mnie tydzień temu.

– Szykował skok?

– Tak zrozumiałem.

– Miał przynieść fanty?

– Panie władzo...

– Jeszcze do was nie dotarło, że współudział w zabójstwie to nie to samo co zwykła paserka?!

– Ma pan rację. – Bieliński już nawet nie próbował oponować. – W końcu Franciszkowi towarzystwo na stryku niepotrzebne.

– Więc co miał przynieść?

– Nie mówił konkretnie, ale spodziewał się trafić trochę błyskotek.

– Gdzie i kiedy planował robotę?

– O takie rzeczy się nie pyta. – Paser spojrzał na oficera niemal z wyrzutem.

– Niby prawda, ale przecież znaliście się nie od wczoraj.

– W interesach to nic nie znaczy.

– Mimo wszystko spróbujcie sobie przypomnieć. – Głos Mazurka wyraźnie złagodniał.

– Drzewiecki nie wspomniał przypadkiem o willi na Dygasińskiego albo mieszkającej samotnie babci?

– Dygasińskiego? – Bieliński w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Gdzie to jest?

– Na Żoliborzu, między ogródkami działkowymi, Krasińskiego i Mickiewicza.

– Od biedy mogłoby pasować. Franciszek coś nawijał, że nie będzie miał daleko na tę robotę.

– A propos – przypomniał sobie porucznik. – Gdzie ten Drzewiecki ostatnio się zamelinował?

– Wzięła go do siebie Anka Woźnicka. – Tym razem paser bez wahania zaspokoił ciekawość oficera.

– Co to za jedna?

– Klawa szprycha! – Bieliński obleśnie oblizał wargi. – Chłopy lecą na nią, że hej!

– Znacie jej adres?

– Musicie, panowie, pojechać na Piaski, na Kochanowskiego.

– Chyba coś mi świta – wtrącił się Pozorski. – Kiedyś miałem już z nią do czynienia.

Szary, niewysoki blok wyglądał zupełnie przyzwoicie. W pierwszym odruchu chcieli zaparkować fiata przed samym wejściem, ostatecznie postanowili jednak odjechać jakieś sto metrów dalej. Wrócili piechotą, znaleźli na liście lokatorów interesujące ich nazwisko i bez pośpiechu ruszyli na drugie piętro. Mazurek lekko nacisnął dzwonek. Ze środka dobiegła króciutka, skoczna melodyjka, ale nikt na nią nie zareagował. Porucznik odczekał chwilę i ponownie zadzwonił, niestety i tym razem bez skutku.

– Gdzieś ich poniosło – westchnął Pozorski.

– Na to wygląda.

– Co robimy?

– Musimy na nich poczekać.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI